

JACEK CIEŚLAK

Skończony właśnie sezon teatralny był najgorszy od lat. Złożyły się na to ingerencje polityków, próby personalnego i ekonomicznego zastraszania artystów oraz dyrektorów, ale też zarzuty wobec twórców o mobbing i molestowanie. Były bunty zespołów i głośna dymisja Grzegorza Jarzyny.

W TEATRACH JAK W SEJMIE

KULTURA



„Czego nie widać” Micheale Frayna w reżyserii Jana Klaty w Teatrze Wybrzeże, Scena Kameralna w Sopocie. Spektakl Klaty pokazuje, jaką „farsą fars” stał się polski teatr, a kpi również z siebie

Tym razem najgłośniejsze, skandalizujące, bulwersujące spektakle rozgrywały się najpierw w kulisach, garderobach, bufetach, gabinetach dyrektorów, marszałków, prezydentów, posłów i ministrów, potem zaś w mediach, w tym społecznościowych, gdzie komentowano również przemoc i seksualne nadużycia.

Ale też media społecznościowe stały się sceną, gdzie próbowano wpływać na dyrektorów, szefów festiwalu, władze miast, nierzadko w przemocowy sposób – nawet jeśli walczono o równouprawnienie, a także z mobbingiem i molestowaniem. Próbowano w ten sposób wpływać na konkursy – czasami skutecznie – a także zdobyć wpływ na festiwale lub co najmniej tworzenie ich programów, wydatkowanie budżetów oraz przyznawanie nagród, w tym przez zagranicznych jurorów. Więcej dowiedzieliśmy się o Polsce właśnie z teatralnych kulis niż z tytułów zaplanowanych wcześniej w repertuarze.

Podnosić głos

Generalnie środowisko teatralne pokazało swoją nie do końca piękną twarz, co niepokoi tym bardziej, że rości sobie prawo do oceny kraju, innych środowisk, w tym polityków, których – jak się okazuje – bardzo przypomina w festiwalu obietnic, demagogii i personalnych wojen. W tym galimatiasie trudno dostrzec pozytywne cele, o których się mówi, zaś wiele działań przypomina akty vendetty. Zwalczające się środowiska i grupy używają najbardziej szczytnych ideów często instrumentalnie, nie chcąc stworzyć ponadpokoleniowego, ponadświatopoglądowego forum, które mogłoby przyjąć jasne dla wszystkich zasady postępowania, by nie szafować oskarżeniami, które nie znajdują potem potwierdzenia w sądach, prokuraturze lub po prostu w życiu.

Kiedyś takim forum był ZASP, którego prestiż już od dawna jest kwestią historii. Powstały nowe organizacje, jak Stowarzyszenie Dyrektorów Teatrów, Unia Teatrów Polskich czy ostatnio Gildia Reżyserów Polskich. Jednak w kryzysowych sytuacjach okazują się często nie-

skuteczne, pewnie również ze względów personalnych, bo nikt nie chce frontalnie występować przeciwko koleżankom i kolegom. Zwycięża zasada „ręka rękę myje”, w mediach zaś trwa wojna podjazdowa, czasami tworząca fałszywe wrażenie u odbiorców. Ale czy w taki sposób powinno się załatwiać wszystkie sprawy?

Problemów było tak wiele, że w zasadzie trudno zdecydować, od którego przykładu zacząć. W środowisku od dość dawna mówiło się o kryzysie w TR Warszawa, kierowanym artystycznie przez Grzegorza Jarzynę oraz dyrektorkę naczelną Natalię Dzieduszycką. Czołowy polski zespół od dawna zmagал się z problemami finansowymi i personalnymi, na co miało również wpływ to, że od 25 lat nie ma siedziby z prawdziwego zdarzenia, gnieździ się w kameralnej sali na Marszałkowskiej, płacąc czynsz wspólnocie mieszkaniowej, a także wydaje duże sumy na wynajem przestrzeni na większe widowiska od ATM na Wale Miedzeszyńskim, gdzie nikomu nie chce się de facto jechać, a już zwłaszcza publicznym transportem z centrum miasta, bo to zajmuje godzinę.

Grzegorzowi Jarzynie wieloletni i zasłużony dla TR Warszawa aktor Cezary Kosiński, który grał w założycielskim „Bziku Teatralnym” w 1997 r., zarzucił, że dyrektor brał za spektakl niebotyczne stawki, jakich nie powinno się brać w macierzystej instytucji, gdzie deklarowaną zasadą jest zespołowość i równouprawnienie. Dla wszystkich!

Kosińskiemu trudno nie ufać. Jarzyna brał dużo, pewnie zawsze można brać mniej, choć to kwestie względne, i zależy, kto je nagłaśnia, w jakiej gra drużynie i czy czasami nie przeciwnie. Teraz w ratuszu można usłyszeć, że aktorzy otrzymują za wieczór 1 tys. zł, grające zaś gościnnie gwiazdy jeszcze więcej. Trzeba też pamiętać, że atakowano już za wysokie zarobki Krystiana Lupy w Teatrze Polskim we Wrocławiu, który bez Krystiana Lupy jest teraz na mapie kraju martwym teatralnym punktem i największa choćby dotacja tego nie zmieni. Poza tym w modzie jest dziś mówić, że „starzy” zarabiają za dużo. Niestety, młodym, często bez doświadczeń i osiągnięć, którzy wysokie zarobki „starych” krytykują, apetyt też rośnie w miarę jedzenia. Socjalizm płacowy w sztuce już raz kiedyś zadekretowany rozmywa się w praktyce codzienności, o czym warto pamiętać, zanim

obalający stare ekipy przejdą na drugą stronę biurka, które dla kolejnych nowych ekip staną się barykadami, oddzielającymi od zespołów oraz pięknych socjalistycznych zasad młodości. Te zaś przestają mieć znaczenie w czysto kapitalistycznej walce o kasę, dyrektorskie stolki i zagraniczne wyjazdy finansowane przez ekipy politycznie sprzyjające oraz ideowo obrzydliwe. O tym była „Wycinka” Lupy w Polskim we Wrocławiu, którą zniszczył Cezary Morawski, kandydat ministra Piotra Glińskiego, odwołany po negatywnym raporcie NIK.

Wracając do TR Warszawa: na pewno nie udał się Grzegorzowi Jarzynie wysokobudżetowy spektakl „2020: Burza”, jednak gdyby miał dobre relacje z zespołem, kierowałby pewnie teatrem kolejne lata, ponieważ nieudane premiery zdarzają się wszystkim. Zespół uznał jednak, że sytuacja, gdy reżyser podnosi głos – kto nie krzychał ręką do góry! – nie komunikuje się dobrze z artystami, zaś zasłużona instytucja zaczyna przypominać złowrogą korporację. Pewnie coś musiało być na rzeczy, skoro Grzegorz Jarzyna, który kierował teatrem od 1997 r., ostatecznie złożył dymisję, po tym jak próbował udobruchać zespół przeprosinami, to zaś nie przyniosło żadnego skutku, a wręcz wzmogło żądania dymisji, choć nie wyrażali jej wścysz.

Pewnym problemem w klarowaniu sytuacji w TR Warszawa były kontrakty dyrekcji tego teatru obowiązujące do 2023 r., co ostatecznie jest szczegółem na tle przyszłości instytucji: przecież na dyrekcji TR Warszawa spocznie obowiązek przeprowadzenia największej inwestycji teatralnej po 1989 r., jaką jest budowa nowej siedziby z dużą salą na 700 osób i kameralną na 150 osób, za – bagatela! – 300 mln zł w reprezentacyjnym miejscu Warszawy, jakim jest plac Defilad przed Pałacem Kultury, gdzie powstaje Muzeum Sztuki Nowoczesnej, a dziś działają Teatr Studio i Teatr Dramatyczny.

Pytanie brzmi, kto zapanuje nad procesem współtworzenia nowej warszawskiej agory i wizytówki stołecznej kultury, gdy dobrych menedżerów brak, zaś artyści hołdują partykularyzmowi. Może warto wrócić do pomysłu ministra kultury Bogdana Zdrojewskiego, który proponował budowę wielozadaniowej instytucji. Mogłaby ona mieć swój stały zespół, czyli TR Warszawa, ale też użyczałaby sal zewnętrznym produkcjom, zaś w zależności od ambicji artystycznych realizatorów lub

producentów byliby wspierani większymi lub mniejszymi grantami.

Może w ogóle nową siedzibą TR Warszawa powinno kierować ciało wieloosobowe, które łagodziłoby spory, ponieważ – niech środowisko mi wybaczy – nie ma dziś takich jednoznacznych kandydatur, jaką na przykład w 1962 r. był Kazimierz Dejmek, gdy obejmował Teatr Narodowy z profesorem Zbigniewem Raszewskim, twórcą polskiej nowoczesnej teatrologii. Dziś każdego można spostsponować, a nawet opluć lub uznać za osobę stroniczą, na co wpływ ma kurczący się rynek pracy i wynikające z tego konflikty interesów. A jeśli tak nie jest – proszę wskazać osobę w wieku rokującym dobre perspektywy na dekadę lub dwie dyrekcji. Chętnie jej przyklasnę.

Konkurs na dyrektora bądź dyrekcję TR Warszawa wymaga szczególnej dbałości, ponieważ co najmniej dwa poprzednie nie świadczą dobrze ani o władzach Warszawy, ani o środowisku teatralnym. Zanim żoliborską Komedie objął triumwirat Maciej Kowalewski, Małgorzata Sikorska-Miszczuk i Wawrzyniec Kostrzewski (miało się to stać po wakacjach) ten pierwszy, jeszcze bez nominacji, wbrew pozostałej dwójce zaczął zmieniać wybrany w konkursie program, lansując własne tytuły i szukając nowych współpracowników, przez co zresztą cała sprawa wyszła na jaw i konkurs unieważniono. Piszę o tym z politowaniem i dodam, że skuteczni politycy pozbywają się współpracowników dopiero po tym, jak dorwą się do władzy. Panie Macieju, niedoszły dyrektorze Komedii, trzeba było może w analogiczny sposób?

Projekty i frekwencja

W drugim konkursie zabrakło konsekwencji ratuszowi. Jak słusznie podkreślał Wojciech Majcherek, były już kierownik literacki Teatru Dramatycznego, po rozpisaniu konkursu i określeniu warunków miasto zmieniło cel i zasady. Reżyserce Monice Strzępce wraz ze współpracownikami udało się przeforsować tezę, że warunek kilkuletniego kierowania instytucją można spełnić, wykazując się wieloletnim zarządzaniem zespołami w czasie tworzenia spektakli. Potem zaś z siłą wyrazu i perswazji równej tej, z jaką reżyseruje, w konkursie na dyrekcję teatru środka z mieszczańską widownią i tradycyjnym repertuarem – Strzępka wygrała konkurs, prezentując program feministyczny, zakładający odchodzenie od tradycyjnego teatru, kładący nacisk na realizację społecznych projektów. Dziś zresztą jest to coraz popularniejszą tendencją, która sprawia, że artystyczny wymiar widowiska uważany jest za kategorię anachroniczną, a wręcz opresyjną. Szkoda tylko, że takie myślenie sankcjonuje powstawanie coraz większej liczby gniotów, jeśli tylko przyświeca im słuszny cel. Dla kogo słuszny – dla tego słuszny. Nie dla wszystkich.

Wojciech Majcherek ma rację, zaś Monika Strzępka z koleżankami artystkami i menedżerkami dyrekcję, czyli lepiej. Oczywiście takiej liczącej się artystce jak Strzępka warto dać kredyt zaufania, bo bez eksperymentów sztuka zdycha. Jednocześnie warto też zadać ratuszowi co najmniej kilka pytań: gdzie się podziały zasady i czy wszystko można wyperswadować publicznie lub w kulisach konkursów, by zgodnie z nowymi społecznymi i politycznymi trendami przeprowadzać konkurs? Wreszcie: jak będzie wyglądała przyszłość obecnego zespołu Dramatycznego, kilkudziesięciu spektakli, które są w repertuarze, przede wszystkim zaś – jakie będą losy publiczności? Pytam w jej imieniu, bo chociaż dyrekcja Tadeusza Słobodzianka nie była dla mnie interesująca, zaś jego metody postępowania słynne są na całą Polskę i raczej źle o nim świadczą niż dobrze, to wiem jednocześnie, że model teatru, jaki proponował pomiędzy stołecznymi teatrami nastawionymi na radykalny eksperyment lub żalosne farsy, nie tylko zadawała liczną mieszczańską publiczność, ale i zapełniał co wieczór dużą salę Dramatycznego. Jeśli ratusz nie słyszał pytań pełnych niepokoju o frekwencję, chętnie je zadam: co będzie jeśli Dramatyczny po serii tak zwanych eksperymentalnych projektów ziać będzie pustką? Oby tak nie było, ale udawać, że kwestii nie ma – bez sensu. Zawsze warto mieć plan B.

Jeśli już jesteśmy przy Monice Strzępce, która zrobiła dla nowego polskiego teatru tak dużo jak mało kto, a jest też mocną osobowością – warto zapytać, jak w nieprzemocowy sposób poradzi sobie z zespołem, który do tej pory praktykował inną formę teatru niż uprawiana przez Strzępkę. Przecież zdobycie Dramatycznego również

pięknie wyreżyserowała, w czym pomogła opisywana na FB afera z pełnym pychy zachowaniem dyrektora Tadeusza Słobodzianka przy stoliku Cafe Kulturalna w Dramatycznym: to był majstersztyk PR!

Teraz zaś można na FB przeczytać, jak Monika Strzępka z innymi artystkami i aktywistkami ocenia krytycznie Malta Festival w Poznaniu za niektóre działania związane z zaproszeniem bądź niegoszczeniem ukraińskich i białoruskich artystów. Można się zapytać, czy ta impreza też zostanie przejęta przez feministyczne aktywistki? Może to złośliwość, ale gdy obserwuję działalność niektórych koleżanek, którym życzę jak najlepiej, przypomina mi się Monty Python i gang wiktoriańskich dam, które z parasolkami w rękę obierały za cel ataków... mężczyźni. Oczywiście faceci mają dużo za uszami – wszystko, co dziś zakazane, czyli mobbing, napastowanie, a także to, że są białymi heteroseksualnymi mężczyznami, często starszymi lub starymi (przepraszam za ejdżyzm). Ale to jeszcze nie powinno być równoznaczne z karą pozbawienia praw do funkcjonowania w życiu publicznym. Co zaś wtedy, gdy kobiety uderzają w kobiety? O hipokryzji w tym kontekście pisze na FB Dorota Semenowicz, programerka Małty. „Mam wielką niezgodę na wykorzystywanie kategorii troski, czułości, solidarności do załatwiania lokalnych porachunków. Dodam jeszcze, dla tych, którzy nie wiedzą, że nie jestem 60-letnim, rządzącym światem mężczyzną o tubalnym głosie, lecz 40-letnią kobietą, matką dwójki małych dzieci, kuratorką, teatrolożką, romanistką z pięcioletnim doświadczeniem migracji”.

Ja zaś przypominę, co działo się przy okazji grudniowej Boskiej Komedii w Krakowie, gdy reżyserki domagały się wyrzucenia z programu spektakli Pawła Passiniego oraz Grzegorza Wiśniewskiego, na których ciążyły oskarżenia o mobbing i molestowanie. Całkiem niedawno umorzono postępowanie w sprawie związanej z Pawłem Passinim. Osobiście zastanawiam się, jak to możliwe, bo sam wierzyłem w sformułowane przeciwko niemu zarzuty, na szczęście domagałem się stosowania zasady domniemania niewinności i chyba dobrze, bo organy prawa zarzutów nie potwierdziły. Wiśniewskiego też nikt nie skazał, choć jak mówi wielu – należy mu się. Dyrektor artystyczny Teatru Narodowego Jan Englert ma inne zdanie i daje Wiśniewskiemu pracę, której nie odrzuca też Danuta Stenka, i powstał z tego co najmniej świetny spektakl. Prawda, jakie to wszystko skomplikowane?

Jednocześnie nikt nigdzie nie odpowiedział na moją propozycję przedstawioną na łamach „Rz” w grudniu, by stworzyć środowiskowy kodeks oceny artystów podejrzewanych o mobbing i molestowanie oraz postępowania wobec nich. Proponowałem to, ponieważ obecnie używane są one również (nie zawsze) w dowolny sposób jako instrumenty nie tylko do obrony przed agresorami, lecz także do rozgrywek, a także prób zmiany dyrekcji teatrów i festiwali. Napisałem o artystach, a powinienem przecież wspomnieć o artystkach. Tak więc wspominam, bo poza mężczyznami – zarówno heteroseksualnymi, jak i homoseksualnymi – mowa była w kontekście przemocowych zachowań i językach także o artystkach. Ewelina Marciniak i Maja Kleczewska mają tę klasę, że same przeprosiły za zachowania, które z punktu widzenia dzisiejszych debat i propozycji mogą nie przejść pozytywnej weryfikacji środowiska. Kto jest zresztą bez winy – niech pierwszy rzuci kamień. A jednak kamienie latają w powietrzu. Byłoby jeszcze lepiej, gdyby uczestnicy debaty uderzyli w poczuć winy nie w innych, lecz w siebie. W pierś nie cudzą, lecz własną.

Jeśli zaś chodzi o próby poszerzania dyrekcji festiwali lub teatrów na fali akcji w mediach społecznościowych – może warto zauważyć, że lepiej tworzyć własne instytucje, bo tak się składa, że odsądzane dziś od czci i wiary pokolenie twórców Małty czy Boskiej Komedii budowały festiwale w autorski sposób, oddolnie, od podstaw. Oczywiście, nie znaczy to, że mają dożywotni monopol na dotacje publiczne bądź sponsorów. By jednak można je przekierować wąskim bądź szerokim strumieniem na inne inicjatywy – najpierw młodsze i młode pokolenia muszą je tworzyć. Mówiąc językiem Jacka Kuronia: nie palcie cudzych komitetów, tylko twórzcie własne.

Minister i marszałek

Być może z tej części tekstu bardzo zadowoleni są politycy, zwłaszcza koalicji rządzącej, czyli Zjednoczonej Prawicy. Na ich miejscu nie czułbym się dobrze, ponieważ obniżają poziom

polityki kulturalnej do tego z roku 1968, czyli czasów Wiesława Gomułki i jego udanej próby zniszczenia Teatru Narodowego za „Dziady” Kazimierza Dejmka. Dodajmy od razu, że próba obecnej władzy jest nieudana, ale to nie znaczy, że takiej próby nie ma. Na łamach „Rz” miałem niekłamano przyjemność publikować korespondencję ministra kultury Piotra Glińskiego oraz marszałka województwa małopolskiego Witolda Kozłowskiego, ponieważ przekonywali się w niej wzajemnie o tym, jak wspaniały jest Teatr im. Słowackiego w Krakowie. Jak świetnie jest zarządzany, jak znakomicie dba o tradycję i łączy ją z nowoczesnością, a także realizuje fantastycznie zadania edukacyjne z myślą o młodzieży. I właśnie z tych wszystkich powodów warto wesprzeć krakowski teatr współprowadzeniem przez Ministerstwo Kultury, co oznacza większe i pewniejsze dotacje.

W takim właśnie tonie, z taką intencją pisali do siebie minister Piotr Gliński oraz marszałek Witold Kozłowski, zaś Sejmik Województwa Małopolskiego przekonany siłą argumentacji swoich mentorów podjął stosowaną uchwałę. Gdy jednak Teatr im. Słowackiego wystawił „Dziady” Mai Kleczewskiej z pierwszym Konradem-kobietą, granym wspaniale przez Dominikę Bednarczyk, a spektakl przypominał również o Strajku Kobiet – na teatr Zjednoczona Prawica wylała morze inwektyw, o współprowadzeniu sceny przez ministra kultury przestało się mówić, zaś dyrektora Krzysztofa Głuchowskiego zaczęto odwoływać. Zjednoczonej Prawicy nie starczało „odwagi”, by zniszczyć dyrekcję i zespół za „Dziady”, za to, że są niezgodne z partyjną linią, więc zaczęto odwoływać dyrektora Głuchowskiego – uwaga! – za zmniejszenie w czasie pandemii wydatków na zewnętrzną ekipę sprzątającą, czyli oszczędności, a ewentualnie za koncert Marii Peszek.

Dno dna bliskie aż nadto polityki Viktora Orbána, nie mówiąc o tym, że podobne praktyki stosuje administracja Władimira Putina. Na szczęście na razie procedury stanęły. Dyrektor Głuchowski może czuć się oskarżony jak Józef K. z „Procesu” Kafki. Bądź – by użyć formuły bliższej środowisku, gdzie nie ceni się zbytnio erudycji – grillowany. Na razie zachował stanowisko.

Niestety, to nie wyczerpuje „osiągnięć” Zjednoczonej Prawicy w polityce kulturalnej. Sejmik Województwa Łódzkiego doprowadził do takiego kryzysu zarządzania w podległym mu Teatrze im. Jaracza w Łodzi, że dyrektor Marcin Hyncnar odszedł. Zespół zaś protestuje i przestrzega przed dalszym upolitycznieniem sceny. Pożalowania godny spektakl reżyserowano w Kielcach. Mariusz Gosek, poseł Solidarnej Polski – to ta partia Zbigniewa Ziobry – domagał się odwołania dyrektora Michała Kotańskiego i zdjęcia spektaklu „Ale z naszymi umarłymi” Marcina Libera, dopatrując się w przedstawieniu o narodowych zombie pary Marii i Lecha Kaczyńskiego. Spektakl czasowo zdjęto, a gdy wrócił na afisz w konkursie na najlepsze przedstawienie sezonu 2021/2022, wygrał zarówno konkurs publiczności, jak i dziennikarzy. Mówiąc wprost: trzeba być idiotą, by w demokracji cenzurować artystów. Co nie znaczy, że wszystko im wolno. Ale tego, czy ktoś naruszył prawo, dochodzi się w sądzie. Inaczej każdy polityk robi z siebie pośmiewisko lub idzie śladem Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej.

Poza wszystkimi negatywnymi kanonami jest oczywiście prezydent Legnicy Krzakowski, niegdyś SLD, teraz flirtujący z PiS, pewnie najbardziej Kochający władzę, a wiele wskazuje, że nienawidzący dyrektora Jacka Głomba z legnickiego Teatru im. Modrzejewskiej. Skądinąd utytułowanego, którego co najmniej kilka spektakli opisało historię regionu i tworzyło na nowo tożsamość miasta po wyjściu wojsk radzieckich, a przebiły się też one do kanonu Teatru Telewizji i prestiżowych festiwali, czym nie może się pochwalić każdy wojewódzki teatr.

Rządca Legnicy traktuje chyba jednak miasto jak swój folwark, skoro dyrektora, którego wiosną poparł w konkursie, teraz karze jak chłopą pańszczyźnianego karą ekonomicznej chłosty, bo tak można nazwać wypowiedzenie w środku roku umowy na współprowadzenie teatru marszałkowi województwa dolnośląskiego. Tego jeszcze nie było, ani w PRL, ani w III RP. Dlatego antyteatralna wojenka prezydenta Krzakowskiego już przeszła do historii polskiej głupoty. Oby nie było bisów, a środowisko teatralne postarało się, by nie przypominało politycznego.

/©©

Autor jest m.in. selekcjonerem Festiwalu Polska w IMCE, Festiwalu Boska Komedii, członkiem kapituły Nagrody im. Swinarskiego (za najlepszy spektakl sezonu) i Nagrody im. Zelwerowicza (za najlepsze role sezonu)